Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. No. 34. Leszno, dnia 17. Lutego 1844.



Dominika Hołowińska.

Życie mojéj Matki.

Przez

X. Hołowińskiego.

Niewiastę mężną któż znajdzie..... Usta swe otwarza mądrości, a zakon miłosierdzia na języku jéj. Upatrowała ścieżki domu swego, a chleba próżnując nie jadła. Powstali synowie jéj i szczęśliwą sławili...... Omylna wdzięczność i marna jest piękność: niewiasta bojąca się Boga, ta będzie chwalona.

Przypowieści Salamona r. 31.

Oddawna pragnąłem wywołać z mojéj pamięci ten luby obraz, a im dłużéj zastanawiałem się nad życiem matki, tym bardziéj utwierdzałem się w mojém przedsięwzięciu. Czyż tyl-

ko ludzie sławni i wielcy mogą nas obchodzić? Czy w prywatném życiu, pełném nędz, choć próżném głośnych czynów, nie może mieścić się wielkość charakteru? Czy w opisie podobnym nie można znaleść silnego zajęcia i zbawiennéj nauki? Wprawdzie znużeni jesteśmy ciągłém wywnętrzaniem się i dziejami osób, co tylko piszącemu nie są obojętne: jednak prócz największéj przyjemności, jaką czuję w przywodzeniu na pamięć życia mojéj matki, pragnę razem przedstawić zaciętą walkę obdarzonéj wielkim umysłem kobiéty z ostatniém ubóstwem i nie małemi cierpieniami, pragnę wykazać tę najżywszą ufność w Bogu, któréj wyraźne niepodobieństwa obalić nie mogły, a któréj nie zawiodła cudowna Opatrzność. Niechaj w tym zamiarze znajdzie wymówkę moja synowska miłość, która obudziła gwałtowną chęć wskrzeszenia pamiątki, najdroższéj mojemu sercu.

1771 roku urodziła się w Międzyrzéczu koreckim ze szlachetnego domu Łęskich i otrzymała na chrzcie imię Dominiki dla tego, że brat rodzony saméj Łęskiéj, Xiądz Szybiński, Rektor XX. Pijarów międzyrzeckich, miał patronem Ś. Dominika. Rodzice matki mojéj byli ani bogaci, ani ubodzy: kilka wsi trzymali w posessyi około Baru, lecz Hajdamaczyzna wówczas grasująca stała się ruiną ich majątku; nie można jednak wszystkiego składać na Koliszczyznę, bo oddawna nieład w domu panował. Sama Klara Łęska była surowego charakteru, dość popędliwa i żywa, a ztąd łatwo trzymała pod władzą pana Józefa, swego męża, który był flegmatyk i o nic więcéj nie dbał, jak o wygody życia. Dość mu było pod berłem Sasów zwijać się po sejmikach, i bojować ze starym węgrzynem, a całe gospodarstwo zapuszczał i w domu o niczém nie wiedział, bo tam zarząd należał wyłącznie do Jéjmości. Jednak zgodne to było małżeństwo, bo w tém jarzmie wcale sobie nie przykrzył pan Łęski: owszem rad ze wszystkiego, ustawnie zwykł powtarzać parę wierszy ulubionych: *Józef i Klara. Śliczna to para.* Czasami zdobywał się na energię, rozumie się nie w domu, ale za domem. Przytoczę jeden wypadek opowiadany przez matkę, który najdokładniéj maluje stan ówczesny kraju, gdzie każdy, kto wszedł, panował, a każdy co chciał, to robił; wprawdzie były traktaty i prawa, ale kto o nich myślał?

Raz wojsko nieprzyjacielskie wtargnęło i jakiś Żyd mający urazę do pana Łęskiego skorzystał z tego najścia, udając go przed Dowódzcą za niebezpiecznego człowieka. Zaskarzenie Żyda było dostateczne, aby obywatela bez sądu i sprawy przywiązano za szyję do armaty i w ten sposób kilka mil pędzono piechotą: pospieszyła na ratunek żona, i częścią pieniędzmi, częścią upojeniem żołnierzy, potrafiła uwolnić męża. Wkrótce potém nie było i słychu o tém wojsku i pan Łęski bezpiecznie pomyślał o zemście, ale mimo wszelkich poszukiwań, nie mógł wynaleść swego oskarzyciela. W rok czy więcéj jechał przez las w towarzystwie kilku ludzi, aż tu na drodze spotyka swego Żydka i łatwo się domyśléć, że go powiesił na dębie, a cała rzecz, lubo wszystkim wiadoma, uszła bezkarnie.

Rodzice matki mieli sześć córek i jednego syna, którego tylko pani Łęska lubiła, a dla córek była obojętną i surową. Ze wszystkich córek, Dominika dla swéj przenikliwości i nadzwyczajnéj żywości zostawała w największéj niełasce, ztąd co dnia strofowania i kary słusznie i niesłusznie sypały się gradem na biédną Dominikę. Raz w domowéj apteczce odkryła się szkoda w konfiturach, a więc wezwano niewinną Dominikę, na nią bowiem zwalono wszystko, co się w domu stało, i kiedy starała się uniewinić, wtedy jéj matka w gniewie cisnęła kawał cukru trzymany w ręku i tak ugodziła w głowę niecierpianą córkę, że ta w omdleniu padła na ziemię, cała krwią oblana. Założono dziurę chlebem i pajęczyną, i bynajmniéj nie troszczono się, co z tego będzie. Ta surowość stanowiła całe wychowanie córek, które wówczas i w najbogatszych domach nie wiele się uczyły. Pani Łęska mocno była przekonaną, że prócz czytania potrzebnego dla modlenia się, nic więcéj nie powinny umieć panny: pisanie bowiem uważała za środek do zepsucia, jako niecne narzędzie bilecików miłośnych. Jedyną chwilą nieco przyjemną dla mojéj matki, był czas przepędzony u jakiéjś pani Mezerowéj niby na pensyi, gdzie się uczyła różnych kobiecych robót i ukradkiem pisania. Taka to była młodość i wychowanie, a ten wstęp pełny cierpienia i nie osłodzony najmniejszą miłością matki, zdawał się zapowiadać nie lepsze życie.

Nieład i różne klęski publiczne, zrujnowały rodziców matki, którzy z ostatkami mienia przenieśli się na stałe mieszkanie do Międzyrzécza koreckiego, gdzie mieli i dom własny i krewnego Rektora Pijarów, co im zawsze pomagał. W tak niekorzystném położeniu wydanie córek było nadzwyczaj trudne i trzeba było o wiele spuścić ze zwykłego tonu, aby się pozbyć z domu ciężaru. Panna Dominika nie była piękna, ale przyjemna, wesoła i pełna dowcipu, a w sądach swoich odkrywała niepospolity sposób myślenia. W szesnastym roku jéj życia przyjechał mój ojciec Piotr, ze swoim bratem starszym Jakóbem dla starania się o rękę matki: a kiedy wieczorem udali się do przeznaczonego pokoju na nocleg, wtedy panna Dominika zdjęta ciekawością podsłuchała pode drzwiami następną rozmowę braterską: Wszystko to dobrze, — odezwał się Piotr, — co mówisz o jéj rozumie i szlachetnym charakterze, ale jaka szkoda, że nie jest ładna. — Ej! mój bracie, odpowiedział Jakób, piękności na talerzu nie krajać, a wian-

ka z niéj nie nosić. — Lecz wkrótce i pan Piotr za bliższém poznaniem się z panną, zmienił wyobrażenie i wstąpił z nią w dozgonne śluby.

To wyjście za mąż było jeszcze zniżeniem się w stopniu towarzyskim, chociaż bowiem matka nie była majętną, jednak w domie obywatelskim przywykła do lepszego życia, a stósunki z lepiéj ukształconemi osobami nie mało przyczyniły się do jéj oświecenia, zwłaszcza przy dziwnych zdolnościach przyrodzonych. Z tém wszystkiém, osoba młoda, żywa, wesoła, z wyższemi pojęciami, umiała zastósować się do biedniejszego położenia. Mój ojciec pochodził z domu znanéj szlachty Hołowińskich, ale ta gałąź oddawna jakoś zubożała, a do tego Piotr jeszcze w małoletności osierocony przez ojca, nie odebrał wyższego wychowania i musiał utrzymywać się służbą ekonomską. W tak młodym wieku, w tak różnym sposobie życia, z tak wielkiemi zdolnościami, trzeba się było Dominice zagrzebać w najniższém towarzystwie na Polesiu i zająć się najniższemi pracami.

Matka mojego ojca, kobiéta stara, prosta, ale poczciwa i wielka gospodyni, wcale nie była rada z tego ożenienia, uważała bowiem synowę za paniątko nie zdolne do pracy i gospodarstwa. W samym początku, kiedy raz ojciec wyjechał z domu, świékra umyślnie wyprawiła za czémś sługę i sama nie wtrącała się do żadnéj roboty, dla doświadczenia swojéj synowéj; wtém garnek zaczął zbiegać, matka w kłopocie naciąga czém prędzéj rękawiczki, aby garnek odsunąć od ognia, ale i ręce popiekła i nic nie zrobiła. Świékra na to patrząc rzekła poważnie: *Przepadł mój Piotr, wilki jego zjadły:* chcąc przez to dać poznać, że z taką żoną nie da sobie rady: ale matka wzięła te słowa literalnie i dawajże płakać po mężu, i biédna świékra nie tylko musiała garnek odstawić, ale jeszcze i cieszyć synowę. W rok potém, świékra przyjechawszy do syna, kiedy ujrzała czystość i porządek, a matkę gotującą jeść, kołyszącą dziecko i miotącą izbę, a wszystko to razem, w tedy w radości zawołała: *Ożył mój Piotr i wilcy jego nie zjedzą;* bo rzeczywiście była to już bardzo rządna i pracowita gospodyni. Rok za rokiem pomnażała się familia w domu moich rodziców i z powiększeniem się wydatków i kłopotów przy bardzo umiarkowaném życiu nie tylko nie szemrała, ale z największą radością przyjmowała to błogosławieństwo Boskie. — Panowie, — zwykła mówić, — cieszą się majątkami, a my dziećmi. — I rzeczywiście, żaden skąpiec, choćby idealny, nie miał tyle przywiązania do najdroższych skarbów, ile macierzyńskiéj miłości spływało na nas z jéj serca nie przebranego w najżywszą czułość.

Ojciec nie będąc z natury silnéj budowy, (*) zaczął upadać na zdrowiu. Trzydzieści dwa lata już minęło, jak dusza jego czysta przeniosła się na życie lepsze. Wieczny pokój cieniom sprawiedliwego! Do wielkiéj łagodności łączył nieposplitą czułość, prawy w swoich czynnościach, nie podejrzywał zdrady i fałszu drugich; ztąd prędko zaufał każdemu i prawie zawsze był zwiedzionym. Pilny był w obowiązkach, lecz skromny i łatwo dający się zastraszyć, rzadko mógł przedsięwzięcia doprowadzić do skutku: bo nie ufny sobie, rad polegał na zdaniu cudzém, a przytém nie miał tego, co ludzie szczęściem zowią i z téj przyczyny mimo pracy i nieposzlakowanéj uczciwości, smutno i ubogo zakończył życie. Otoż czując się coraz słabszym i sprzykrzywszy sobie stan służebny, a mając maleńki fundusik i znaczne gospodarskie remanenta, rzucił się do handlu drzewem za poradą brata swego Ludwika. Ten pan Ludwik był to sobie niegdyś towarzysz kawaleryi narodowéj, a ztąd nie mało imponował ojcu, człowiek zarozumiały, śmiały i tęgi hulaka: lubił żyć dobrze, jeśli nie za swoje pieniądze, bo te się rzadko jego trzymały, to nie zaniedbał za cudze po bajramować, a nadzwyczaj był zręczny w pożyczeniu na wieczne oddanie. Ojciec przeniósł się do wsi Dynesowicze, nie daleko od Czarnobyla, dla tego handlu, na którym choć sam się nie znał, ale ślepo ufał bratu, co wprawdzie wiele rozprawiał, jednak nie wiele miał rzeczywistéj znajomości. Matka ze zwykłą przenikliwością i zdrowym rozumem, od razu postrzegła zły koniec tego mniemanego handlu: przeto starała się albo odwrócić męża od przedsięwzięcia, albo skłonić do większego wglądania w postępki brata. Ojciec nie dopuszczał żadnego podejścia i nawet o tych powątpiewaniach napomknął panu Ludwikowi, który nie kazał mu zważać na rady niewieście, mówiąc: wszak wiesz że u kobiéty włos długi, a rozum krótki. Ot spuść się na mnie, a w krótce się spanoszysz i będzież tylko łysinę pogładzał. — Co dnia szło gorzéj, a ufność ojca nie była zachwianą: pożyczał mu i pożyczał pieniądze, a ten hulał, a hulał: ztąd musiał nastąpić niepokój domowy, bo matka widząc już wyraźną stratę, przypominała los tylu dzieci; z téj przyczyny ojciec unikał domu i prawie całe dnie przepędzał u brata, co go częstował za jego pieniądze. Już wreszcie złego trudno było ukryć: pan Ludwik postanowił złożyć winę na nierząd domowy, lecz trudno było co zarzucić matce, wielkiéj gospodyni, przeto różnemi drobnostkami, jako to: że gęstą kaszę gotuje, chciał się wymówić, lecz ojciec poznał jego nieszczerość. Takim sposobem stracił cały fundusz bądź w handlu, bądź w pożyczce swemu bratu.

Kiedy się zastanawiam nad matki położeniem, nie mogę się nie zdumiewać, że otoczona ludźmi prostymi, często nałogowymi, zawsze przesądnymi i wierzącymi w czary, znachory i Bóg

(*) Wszystkie miejsca oznaczone cudzysłowem wziąłem z opisu mego brata Jana.

wie nieco, umiała się jednak ustrzedz wszelkiéj zarazy; bo i delikatność towarzyską, i nadgminny umysł i czystość obyczajów zachowała: lecz prawdę powiedziéć, ciągle pilnowała domu i gospodarstwa. Raz zaproszono ją na jakąś fetę do sąsiadów, którym odmówić nie można było: ale kiedy gospodyni domu z innémi zaczęła ją naglić do picia, wtedy cała przelękniona uciekając oknem, nogę sobie skaleczyła i odtąd nie łatwo dom opuszczała.

Nieszczęście najwięcéj rozwija wielki charakter, strata funduszu połączyła się z drugą biédą, bo liczne bydło zaraza wyniszczyła i rodzice zostali nagle ze wszystkiego ogołoceni; lecz umysł matki bynajmniéj nie upadł w tak okropném położeniu.

Ojciec uczuł w całéj sile prawdę słów i przestróg swéj żony, ale już było po czasie. Wpadł biédny w smutek i jakąś melancholię; nie tylko dniem, ale i nocą wychodził z domu i błąkał się po polach i lasach; wtedy okazała się piękna dusza matki, bo znosząc mężnie niedolę, próżnych mężowi nie robiła wymówek, owszem z całą czułością przywiązanéj żony lała pociechę w strapione serce męża, krzepiła upadły pod brzemieniem losu umysł, a nareszcie sama swoją prośbą u Opata Bazylianów wymodliła miejsce w zarządzie dóbr owruckich.

Parę lat na tém miejscu przebyli rodzice, lecz mimo wszelkich starań matki, nigdy ojciec nie mógł przyjść do zwykłéj wesołości. Strata funduszu przy nadchodzącéj starości i licznéj rodzinie była zbyt ciężką i zrujnowała jego zdrowie. Z téj przyczyny opuściwszy miejsce, osiadł na bruku we wsi Wiazówce, gdzie cały rok ciężko chorował. Jak opisać to położenie biédnéj kobiéty, gdzie trzeba było i wykarmić dzieci i pielęgnować chorego męża! wszystkie, jakie były, sprzęty, musiała za bezcen przedawać: i jeszcze własną pracą przyczyniać się do utrzymania.

Ojciec znękany więcéj przeciwnościami, niż laty, po cało-rocznéj chorobie dokonał smutnego życia 1810 roku, zostawiwszy żonę i drobne dziatki zupełnie na Opatrzność Boską. Wszystko to sobie dobrze przypominam, miałem bowiem około lat dziesięciu. Z jakąż nieporównaną troskliwością zajmowała się matka po dniach i nocach około ojca w czasie długiéj jego choroby! jak przy największym niedostatku umiała wynajdować środki, aby choremu na niczém nie zbywało! Z jakąż nareszcie boleścią przeniosła stratę tego, z którym przeżyła lat dwadzieścia i który rzeczywiście był najlepszym mężem. Płakałem i truchlałem o własne jéj życie. Biédna, kiedy jéj męża zwłoki oddawano ziemi, kilka razy silnie zemdlała: my dzieci sądziliśmy, że i ona umarła, z wielką bowiem trudnością przywodzono ją do przytomności. Skończył się bardzo ubogi i smutny obrzęd pogrzebu, biédna matka nie utulona w żalu, widzi około siebie ośmioro siérot, z których najstarszy syn miał lat 18, a reszta od 14 lat aż do pięciu niedziel szła stopniowo, bez żadnego grosza, sprzętu, wsparcia i żadnych krewnych: tuląc przeto do zbolałego łona biedne sieroty, rzewnie płakała, powtarzając: Ach, dziatki moje! jakąż ja wam dam radę! — I rzeczywiście, sama jedna słaba kobiéta, bez żadnéj opieki, była rzucona igrzyskiem na ten świat szeroki, mając tylko w towarzystwie biédne sieroty, które jedynie z jéj rąk utrzymania i wsparcia dla siebie wyglądały.

Gdyby tyle nieszczęść zwaliło się razem na mężczyznę, mógłby upaść pod ich ciężarem: ale nie złomny umysł matki przy wielkiéj ufności w Opatrzność Boską, nabierał w nowych przeciwnościach coraz większéj tęgości i odwagi. Jéj cnotliwe postępowanie, jéj rządność i znajomość w gospodarstwie, skłoniły jakiegoś szlachcica, cztéry czy pięć chat mającego, do starania się o rękę biédnéj wdowy, a w tak wielkiéj nędzy było to cudem: ale matka nie chciała i słyszéć o tém, bo w powtórnych związkach przewidywała niedolę swych dzieci — mogę znaleść męża, ale dzieciom ojca nie znajdę. — Takowe odmówienie oburzyło wszystkich znajomych, którzy ją upewniali, że zginie z tak drobnémi dziećmi — nie zginę, — odpowiadała, — bo Pan Bóg jest ojcem wdowie i sierotom i pewnie mię nie opuści.

Nie było czasu oddawać się długim żalom, lecz należało myślić o dzieciach: a naprzód opuściła strony owruckie, gdzie nikogo nie miała z krewnych, a przeniosła się w okolicę Ostroga i Korca, kędy jéj familii było gniazdo. Ale i tu nowy kłopot, bo któż przyjmie wdowę z ośmiu sierotami drobnémi; ledwo jeden Mikołaj, brat najstarszy, mógł się pomieścić w Palestrze ostrogskiéj. W ostatniéj przeto konieczności trzeba było rozdać choć połowę téj biédnéj dziatwy pomiędzy ludzi, aby i sama mogła gdzie znaleść przytulisko i obmyślić jaki sposób wychowania synów. Był to czas dla niéj najboleśniejszy i najcięższy, i bardzo często wspominała potém tę smutną epokę życia. — Mój Boże, — mówiła — co za okropne było moje położenie! Dzieci moje, wszystko moje, musiałam rozrzucać i nabijać się ludziom, aby to brali, co dla mnie tak drogie i na co me oczy napatrzyć się nie mogły. — Co to za boleść dla macierzyńskiego serca, trudno bez doświadczenia pojąć.

Tak miłosierdziu ludzi powierzywszy starsze dzieci, osiadła sama z dzieckiem przy piersi, ze mną kilkoletnim i najstarszą córką Teklą, przy rodzonéj siostrze, która we wsi Sadkach miała kilka chat w dożywociu. Trudne to było położenie: ciotka była wprawdzie prosta, ale dobra kobiéta, a choć matka i siostra pracowały w jéj domu jak proste wyrobnice, jednak było to zawsze wielkim ciężarem dla niebogatéj osoby, zwłaszcza dwoje dziatek drobnych nie mało przynosiły kłopotu. Ztąd łatwo wszczynały się spory i wymówki, które się często kończyły wypę-

dzeniem z domu, nim z ochłonionym gniewem uczucie siostry znowu wzięło górę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

List Pana Abrahama Złotopolskiego, o śmierci nieboszczyka Pana Żołkiewskiego, Kanclerza i Hetmana koronnego, de data z Trembowli 24. Octob. 1620.

(Z współczesnego rękopismu.)

Jakom się z Panem Kanclerzem i z Panem Hetmanem polnym rozjachał, wszystko wypisuję. Po rozproszeniu się naszém, kiedy Turcy w obóz wpadli, nie został się jedno Pan Kanclerz z Panem Hetmanem polnym w przedzie taboru. Kiedy widział, że źle, począł mówić: Co czynić dla Boga? Było koni przy nim jeszcze ze trzysta. Krzyknęliśmy wszyscy: Z koni! a konie pobatować i tak od koni się odstrzeliwając, będziem uchodzić. Pan Kanclerz zsiadłszy z konia, przebił go szablą, na przykład drugim dając, że nie myśli uciekać, i szedł piechotą ze ćwierć mili, z jednéj strony mnie się podparłszy, z drugiéj strony Pana Kurzyańskiego. Pan Hetman polny z Panem Tarnowskim przed nim szli. Skoczyło do nas ze 2,000 Tatarów; zaraz wszyscy a wszyscy co konie mieli, wpadłszy na konie, poczęli uchodzić; nie zostawili nas jedno jedenaście człowieka, a Pan Hetman polny, z Panem Kanclerzem, dwunasty i trzynasty. Szliśmy z nim pieszo na kilkoro strzelenie z łuku, prosząc go, aby na koń wsiadł i równo z drugimi uchodził. Niechciał, mówiąc w te słowa: Nie wsiądę; miło mi będzie przy was umrzeć. Niechaj Pan Bóg wyrok swój, który nademną uczynił, kończy. Mało co postąpiwszy, poczęliśmy go znowu prosić, aby wsiadł, ale i konia już nie było. Jam w tém towarzysza jakiegoś z konia zbił, i z Panem Hetmanem wsadziłem go nań. Zatem z boku kilkaset koni naszych przypadło, między które on wpadł, i od tegom czasu już go nie widział, a Pan Hetman polny, P. Kurzyański, P. Denhoff, P. Silnicki, a Niemców kilka, piechotą udaliśmy się w inszą stronę. Owo było nas dwanaście, z których siedmiu zabito w tém uchodzeniu; między nimi i Pana Denhoffa zabito. Pan Hetman, P. Kurzyański, P. Silnicki, ja i Niemiec jeden, a około nas tysiąc Tatarów, wprowadzili nas w jakiś las nad Dniestr, mil dwie niżéj od Mohilowa. Wszyscy ci, cośmy żywo zostali, postrzelani po kilka razy. Pan Hetman postrzelony w bok i w wierzch głowy. W tym lesie napadło na nas kilkaset Wołoszy, którzy Pana Hetmana i nas obnażywszy, wzięli Pana Hetmana od nas, za którym i ja szedłem, niechcąc go odchodzić. Wołoszyn kazał mi klęknąć, chcąc mię ściąć, jam wtém w las uskoczył: takem Pana Hetmana stracił. Nalazłszy potém Pana Kurzyańskiego, Pana Silnickiego, i Niemca, przez dzień i przez noc przetrwawszy, nadedniem szliśmy ku Dniestrowi; tam napadliśmy na pułk Tatarów; że było trupów siła nad Dniestrem, nadzy będąc, pokrwawieni też, przypadliśmy między nie. Tatarowie jadąc mimo nas, siekli trupy pobite, i onego Niemca, który z nami przypadł, zabili. My, skoro nas Tatarowie minęli, Dniestreśmy przebyli. Masz tedy WMość peregrynacyą naszę nieszczęsną.

Die Slaven in den ältesten Zeiten bis Samo (623). Eine linguistisch-geographisch-historische Untersuchung nebst einem Anhange: „Gedrängte Übersicht der heutigen Slaven.“ Von Roman St. Kaulfuss. Berlin 1842.

Przez W. A. Maciejowskiego.

Drogiéj dla Polaków pamięci męża (który przed trzydziestu blisko laty pięknie za naszym przemówił językiem) syn, wystąpił z pismem, które głównie mając na celu zwrócić uwagę Niemców na rozwijanie się słowiańskiéj literatury w czasach obecnych, wzięło sobie oraz za pochop uczynić niektóre spostrzeżenia nad powszechnie znaném dziełem P. Szaffarzyka. Nic prawie nowego nie powiedział on w téj mierze, bo wszystko co niby nowém u niego jest, starém jest rzeczywiście i dawno nam znane, lubo nie przeczymy temu, że dla jego ziomków, języka słowiańskich ludów nie znających, wszystko to zdawać się może nowém. Jest prócz tego w tém dziełku nie jedno do wytknienia. Bo o ile P. Kaulfuss bezstronnie rozważył czasy dawne, dobrze się wpatrzywszy w pomniki pierwotnych dziejów, o tyle powierzchownie nowsze Słowian przebiegł piśmiennictwo, nie chcąc, czyli raczéj, dla braku znajomości ich narzeczy, nie mogąc postarać się o bliższą wiadomość tego, co się w literaturze Słowian greckiego obrządku w obecnych pokazało czasach. Wytkniemy pokrótce jedno i drugie; dokładniéj pomówić w téj rzeczy na inszy czas odkładając sobie.

Nowy nasz Słowianofil z zapałem mówi za przedmiotem, który ziomkom swoim przedstawić przedsięwziął: wytyka im usterki w badaniach i sądzie o dziejach, dowodnie wykazując, że co mówi, na pewnych mówi zasadach. Podobało się nam co wyrzekł o słowiańskiém pochodzeniu niemieckiego wyrazu *der Strom* (str. 17.), a słowa jego znajdują poparcie i w tém, że właśnie górno-niemieckie narzecze, które bardzo wiele ze słowiańskiéj mowy zarwało, podobną nazwę znaczeniu rzeki nadaje. Słusznie oświadczył się przeciwko wywodowi nazwy *Borusków* (str. 21.), tudzież przeciw Nestora i Boguchwały podaniu o pierwotnéj siedzibie Słowian (str. 23.), lecz to, co o źródłosłowie wyrazu Słowian, a szczególniéj też to, co za sarmatyzmem ich przywiódł, marnie powiedział. Wywodzi on Słowian od *sławy* z przyczyny téj, że najdawniejsze nazwy słowiańskie kończą się na *sław*

(str. 60, 61). Lecz ilekroć sami o sobie piszą Słowianie, *o* a nie *a* kładą, zkąd wnioskuję, że owa pisownia używająca *a* obcą jest. Autor zarzuca P. Szaffarzykowi, że niestały będąc w zdaniu tychże samych Sarmatów, których sam niegdyś do Słowian liczył, teraz z błachych powodów od braterstwa słowiańskiego wyklucza, i że również mocno przeciwko nim mówi teraz, jak usilnie niegdyś za nimi przemawiał (die neueste Ansicht mit eben derselben Bestimmtheit als die frühere fixirend! mówi P. Kaulfuss na str. 25). „Prawda jest,“ mówi Krytyk, (str. 32.) „że Grecy i Rzymianie rozumieli niekiedy przez Sarmatów lud inszego a mianowicie scytyjskiego szczepu, i że ciż sami Grecy i Rzymianie mogli niekiedy mylnie brać Słowian za Sarmatów i obudwóm ludom jedno przypisywać pochodzenie, dla tego, że pod jednym zostawały rządem, tak właśnie jak i dziś (słowa są P. Kaulfuss str. 26.) mylnie nazywamy niekiedy Niemcami niektórych Słowian, z powodu, że niemieckiemu ulegają rządowi. Lecz kiedy żadną miarą oddzielić się nie da co w sarmatyzmie sarmackiego, a co obcego (słowiańskiego) w niém było, więc nie można też ściśléj stanowić granicy między narodowością jednych i drugich, ale owszem obadwa te ludy w jedno pomieszać i jeden za drugi brać należy, a to obyczajem starożytnych, którzy Sarmatów i Słowian za jedno brali.“ Śmieszne to jest zaiste rozumowanie: bo podług niego wychodziłoby na to, że Słowianie byli toż samo co Celtowie, Giermanowie, Tatarzy, z przyczyny, że te ludy panowały nad niemi, narodowość swą z ujarzmionych językiem, obyczajami i wszelkiemi o cywilizacyi wyobrażeniami pomieszały, tak, że niekiedy nie można wcale odróżnić w téj mierze jednego ludu od drugiego. Gdy atoli wcale co inszego jest ludzkość wszystkim śmiertelnym wspólna, a co inszego narodowość czyli cechy pojedyńczym właściwe ludziom, przeto jak Słowianie lubo przyznają się do celtyzmu, giermanizmu i tatarszczyzny, przecież nie wywodzą pochodzenia swego od Celtów, Giermanów i Tatarów; tak nawzajem Celtowie, Giermanowie i Tatarzy za Słowian spółplemienników nie uznawali się nigdy i uznawać nie będą, chociaż nie jedno ze słowianizmu przyswoili sobie. Toż samo o Sarmatach i sarmatyzmie różném od słowianizmu, jakto okazał Szaffarzyk, należy powiedzieć.

Po szczegółach przyszedł P. Kaulfuss do ogółu i treściwie powiedział o usilném dążeniu Słowian do wyjaśnienia narodowości swéj, i wykazania, co w niéj swojskiego, a co obcego jest. Wysławiwszy polskie, czeskie i serbskie piśmiennictwo, jako dotąd najwięcéj rozwinięte lub rozwijające się, niekorzystne o rossyjskiém i ruskiém wydał zdanie, mówiąc, że o kształceniu się jego narodowém wiele słychać, ale owoców jego nie widać żadnych (von der nationalen Bildung der Russen hört man viel ohne den geringsten Grund sprechen, str. 94). Zdaniu temu wyrzeczonemu skwapliwie i jednostronnie naznaczyłem przyczynę wyżéj, i nie dziwuję się wcale, dla czego je Pan Kaulfuss wyrzekł. Bo jakże może mówić o kształceniu się narodowém ten, który ani mężów kształcenie to czyniących, ani ich prac nie zna wcale. Kiedy liczny lubo niedokładny położył szereg pism, literaturę ojczystą u Słowian rzymsko-katolickiego obrządku wyjaśniających (opuścił n. p. Kazim. Wład. Wojcickiego, który się słowiańskiéj literaturze wielce i dobrze zasłużył), tymczasem o dziełach Słowianom obrządku greckiego bąć czystego (przez unią z Rzymem nie połączonego), bąć mieszanego (uniackiego), też samą przysługę czyniących, nie powiedział nic. Dla czego? bo nie zna ani pisarzów ich, ani dzieł. A przecież, mianowicie też w Rossyi, nie masz żadnéj prawie gałęzi nauk, którąby tameczni uczeni nie obrabiali. Tak zwana literatura ludu, Pamiętniki i Pomniki historyczne, prawodawstwo, są z poważniejszych nauk owe, które obecnie uprawiają PP. Sacharów i Makarów, Pogodin Sniegirew, Moroszkin. Z literatury pięknéj powieść szczególnie w duchu oryginalnym uprawianą jest, a imię męża, jakim jest Pan Gogol, jaśnieje obok najsławniejszych słowiańskich powieściarzy. W krytyce szczególniéj się odznacza P. Szewirów, a jeżeli który słowiański naród, to rossyjski przed inszémi posiada najwięcéj rozgałęzione dziennikarstwo. To zaś, czego wszystkim Słowianom dla braku środków materyalnych niedostaje, mają Rossyanie obficie. Mają towarzystwo przez rząd wyznaczone i bogato uposażone, którego zatrudnieniem jest wydawanie starożytnych pomników historycznych. Prace towarzystwa tego w dziesięciu przeszło dużych tomach drukiem pod napisem dzieł archeograficznéj kommissyi dotąd ogłoszone, tudzież uczone pisma towarzystwa historycznego moskiewskiego, najlepszym są dowodem na to, że P. Kaulfuss mylnie wyrzekł, jakoby narodowa oświata u Rossyan wielce okrzyczaną, ale bezowocną była. Tyle na teraz: resztę odkładam na później, o czém się szanowny autor dowie z tegoż samego pisma lub inszych w Poznaniu wychodzących.

Z Wieczorów badeńskich, J. M. Ossolińskiego.

(Dokończenie.)

Wyjątek czwarty.

Widziałem to na oczy.

Pani! oj coże ja to widziałem.... dopiero... dopieruteńko widziałem. Dalibóg na moje własne oczy! Na te obie oczy widziałem. Jakiś mości pan, chłopiec grzeczny, gaszek, junaczek, sowizdrzał, szambelan, zwał się wreszcie jak

się zwał, wiele był złego na świecie nabroił; złego, jakie płazem uchodzi, chociaż za mniejsze pręgierzem albo szubienicą karzą. Zabił w pojedynku męża, że mu do żony bronił... Uwiózł mniszkę z klasztoru i porzucił... Wyratował go był jakiś poczciwiec, gdy raz puściwszy się jak drugi Leander wpław do jakiéjś Herony; już, już w gwałtownéj fali miał chłodzić zagorzałe serce; on i temu oblubienicę zbałamucił. Nazywał zaręczyny ponętą na dziewczęta. Jak która za nią schwyciła, zostawiał jéj haczek, sam zaś szedł z wędką na inną tonią... Zazwyczaj jego miłostki krótko trwały; nawet kródzéj od kazań Łachowskiego. „Wcalem nie Koloander,“ tak tam do kogoś mówił. Serce u mnie jak austerya, otwarte do wjazdu i do wyjazdu. Gdzie zająca nadybię, tam go szczwam....

Radem kuropatwie świeżéj, osobliwie kiedy się trzepoce, a przecie na lep padnie.... Już to ani w Boga nie wierzył; ani się djabła obawiał? w kościele nie postał, a jeżeli kiedy o kruchtę nakoniec mszy zalotnik zawadził, to w rumel do niego przypadało owo przysłowie: „A co po psie w kościele? kiedy pacierza nie mówi.“ Zacinał w karteczki; powszednia to tylko była u niego sztuczka, nabić pistolety, albo nastósować lisa. A jak ociął jakiego prostaczka, jeszcze sobie z niego dworował, że go gracko zfrycował... z wierzycielami obchodził się wcale inaczéj, jak wszyscy inni rzetelni dłużnicy; nie krył się przed nimi. Zawsze był dla nich w domu, zawsze niewypowiedzianie uprzejmy; wypytywał się o zdrowie Jegomości, Jéjmości... o słodkie pociechy. Juzia, Anusię... Jak tych nie stało, to o ptaki, o pieski: czy brys szczeka? czy zemierka zawsze się łasi po swojemu? czy papużka zawsze wrzeszczy: „Bywaj zdrów!“

Czém tak zabałamucił gościa, że nie znalazł okazyi wspomnieć mu o dłużku; miał zaś na dorędziu biegusa, który ni z tego, ni z owego, wołał go czém prędzéj do Króla albo do Prymasa; odwiedził go był raz ojciec, poczciwy dziaduś, i nie letko strofował; kazanie było długie, wcale nie strawne; prawdziwie, dziwić się trzeba było jego cierpliwości, cały czas świstał w palce, toż wśród mowy spytał się starego Jegomości, jeśliby nie wygodniéj było siedzieć....

Wszakże samo się złe z czasem rozbija o siebie, albo o Bożą mękę; przyszło też jemu na taki koniec. I czarno-brewe i złoto-włose Warszawianki puściwszy z kwitkiem przez jakąś fantazyą, obrócił smak do czepców i płóciennic. Po odprawionym szczęśliwie dwunastym pojedynku, żegna stolicę... wyprawia się na prowincyą. Przypadała mu droga przez Jeziornę; właśnie zaś wydarzyło mu się mijać owego, którego był świeżo na placu położył. Gzik go napadł pożartować; pozdrawia nieboszczyka: „Spokojnież tu Waszmość spoczywasz sobie? a cóż! czy złym do pistoletu! nie od razuże Waszmości uśpiłem. Przynajmniéj nie długo się budziłeś. Godziłoćby mi się za to, choć Bóg zapłać powiedzieć.“

Pacholika dreszcz przeszedł. Postrzegłszy to junak, przegardla prostaka, każe mu sam Pana prosić do siebie na wieczerzą. Pachołek rad nie rad dotarł, lecz z rzadką miną powrócił... czesze sam... wali koperczaki... Coś z pod mogiły cherka: Będę! będę! Natłoczył czapkę na uszy, w nogi... z tém wszystkiém wkrótce sobie klin z głowy wybił: że to musiało mu się tylko przysłyszeć.

Już Mości Pan w karczmie w Jeziornéj smaczno, choć to w Piątek, kapłona zajadał... Puk, puk coś do drzwi... Piknęło Jegomości, atoli wnet się otrząsł, i jeszcze połknął udo. Aż tu drugi raz puk, puk... Nadrabia fantazyą, wstaje, otwiera... Proszonyć to był gość. Lecz ilem z twarzy Pana młodego wyczytał, przecie nie miły! Był to ów nieboszczyk wykopany, ów sam od niego zabity, w rantuchu białym od głowy do stóp. Szambelan nie wie co począć. Łapie za szklankę, wlał w siebie jednę, wlał drugą, już nabył serca trzecią do gościa spełnić. Prosi go siedzieć.... Nieboszczyk tego dnia był po obiedzie, obiecał się na jutro.

Junak zostawszy się sam na sam, trochę duma.... Bierze pióro... pisze... jego Sancho Pansa rozumiał, że testament. Nie był to testament, przecież było coś podobnego. Pisał do ojca opłakując rzewnie błędy swojéj młodości, poprzysięgając poprawę, a prosząc o kapitał, żeby mógł ukrzywdzonym przez siebie nadgrodzić. Pachołek rad w duchu, że się przecież Pan jego upamiętywał, zebrawszy list, wionął z wiatrem na wyścigi. Kontent z siebie Szambelan, tak sobie potakiwał: Kochany tatulo wystrychnął mi jakiegoś nieboszczyka. Jest głowa na głowę. Lepszego ja mu utnę kuranta. Już też kaducznie się było w kieszeni zaćmiło. Trzeba odmienić manewry. Vivant dusie, va banque! wtém nawinąwszy się brat któryś z owych niebożątek, co to ich był kopy pozwodził zaręczynami, bez wielkich ceregielów zaczął mu sumienie iskać. Panicz jakby nie ten sam co przed laty, już mu się składał na nowy tęp, kruszył się, bił się w piersi, wyrzekał co najgorszego na swoją młodość; nakoniec oświadczając poświęcić się na dożywotnią pokutę, „owéj też życzył,“ za klauzurą grzechy opłakiwać. Ta scena tak budująca, jeszcze się tkliwszą stała, za przybyciem trzeciéj osoby, to jest: Teologa od ojca zesłanego. Księżyna wzruszony strzelistemi aktami nowo-nawróconego, wysypał przed niego pełny wór łaski Boskiéj. — Oh jak przykładnie świętaszek Bogarodzicę „kremnicką“ przytulał do serca, całował. Obydwa, Teolog i on, powstali na nieszczęśliwego szwagra, czemu siostry zbawienne intencye, wstąpienia do klasztoru, rozbijał. A gdy temu za-

brakło cierpliwości, i poszedł pistolet nabijać czyli szablę ostrzyć, klęknęli, polecając Bogu jawno-grzesznicę, żeby ją tknął promieniem swojéj łaski.

Ksiądz z najlepszemi nowinami nazad pojechał do ojca. Panicz obiecał się wnet za nim wybrać, tymczasem wziął się do złotka. Zsypuje je, aż oto obróciwszy się, spostrzegł za sobą nieboszczyka... Struchlał... iżali nie zechce się z nim obłowem podzielić... Próżna to była bojaźń. Nieboszczyk nawet nie rzuciwszy okiem na stół, chwyta samego za rękę.... Recytuje mu długą litanią jego zbrodni i tém skończył: Młodziku, masz jeszcze czas... Gdy raz i drugi to powtórzył: masz jeszcze czas; a ów milczał.... Czas już przeszedł, wyrzekł, i natychmiast przedzierzgnąwszy się w starca, świstnął mu kosą po nad głową. Szambelan zamierzał się do korda, ale ów go tęgo za rękę ścisnął, mówiąc: Idźmyż tedy wieczerzać. „Ach Boże!“ jęknął przeraźliwym głosem młodzik: „Cóż się to zemną dzieje! ogień zje wnętrzności. Tleję, padam, gorzeję, w popioł niknę.“ Jęk przeszywał serca i uszy... Niebo zagrzmiało. Piorun z obłoków wypadł. Ziemia się rozstąpiła. Pochłonęła nędznika... Z otchłani buchnął płomień, resztę dym zasłonił przed oczyma.

„Już po nim,“ rzekł Skanarel; „ma za swoje Don Żuan! Biada mi, że kilkanaście lat służyłem za wiatr.... wreszcie bierz go djable.... Bodaj tak kark skręciły wszystkie Don Żuany!“

POEZYA.

Wiersz Molskiego w czasie urzędowania Prefektów w r. 1815.

Chłoszczesz nas Boże swym biczem,
Powietrzem, wodą, ogniem i wojnami.
Lecz nam to wszystko zdaje się niczem,
Równając z złymi urzędnikami!
Zajął obcy nasze kraje,
To nam lżejszym być się zdaje;
Bo nas widocznie naucza,
Że nam swój srożéj dokucza.
Kałmuk, Baszkier, z naszych chatek,
Chleba mi wydarł ostatek.
A godny rządzca powiatu,
Rodzonemu wydrze bratu.
Ani go zmiękczą łzy rzewne,
Serce ma jak lew okrutne;
Bo złotówki egzekutne,
Dochody mu czynią pewne.
Ulżyć nie jest w jego sile,
Bo wyższe chcą mieć nakazy.
Mógłby przecie zrobić tyle,
Przedstawić nędzy obrazy.
Ci, co chociaż są przychodnie,
A obchodzą się łagodnie;
Widząc, jak nas nędza gniecie,
Zfolgowali by nam przecie.
Wreszcie to, co się dostawi,
By tak brano jak należy;
Ale tysiące kradzieży,
I wiele nierząd potrawi.
Daj choć nie masz, choć nie trzeba,
Chociaż zgnije w magazynie,
Zjedzą dozórcy i świnie,
A ty daj ostatek chleba.
Kiedy nadto jest w zapasie,
Chociaż i żołnierz nie strawi;
Przedać po kryjomu zda się,
Rólnik ostatek dostawi.
Albo liwerant brodaty,
Wspólnik rządzcy do łupieży;
Takto łotry drą powiaty,
Wszystkich wywieszać należy,
Na przykład całemu światu,
Żeby go łotrów pozbawić;
W środku każdego powiatu
Trzy szubienice wystawić.
Każdy zapewne przysądzi,
Temu, co powiatem rządzi;
Kto magazynów doziera,
Kto na liwerunki zdziera.
Wszak przedtem takich wieszano!
Takie mam przeczucie wieszcze,
Że te czasy znów nastaną,
Że ich będą wieszać jeszcze.
Bo ta podła zgraja mniema,
Że już Boga w niebie niema;
Albo że nie słyszy jęku,
I nie ma kar w swojém ręku.
Przecież się i u nas kiedy
Niebo chmurne wypogodzi;
Możem kiedy wybrnąć z biedy,
Jak Bóg mocarzów pogodzi.
Przy powszechnéj panów zgodzie,
Będziem mieć ojca w narodzie,
Co zagoi nasze rany,
I wytępi te tyrany.
Niemasz ich na tronach przecie,
Bo te łaskawość posiada;
Za cóż mają być w powiecie?
Niechaj na nich zemsta pada.
Niech smutek ich serca ściska,
Niech padną na pośmiewiska,
Niech zniknie ich pokolenie,
Niech ich dogryza sumienie.
Niechaj nie mają majątku i sławy,
Pogróź im Boże, jako ojciec prawy!
Lecz gdy się jeszcze poprawić są zdolni,
Pozwól — niech będą od tych przekleństw wolni.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)